

Katownia w Krakowie

24 kwietnia 2008

Śmierć albo kalectwo w areszcie przy Montelupich.

Claudiu Crulic popełnił błąd. Wierzył w sprawiedliwość, prawo i ludzką przyzwoitość. Za tę wiarę zapłacił życiem. Jego akurat sprawa obiegła środki przekazu, choć bez szczegółów, które przedstawimy. Nim to nastąpi, zaprezentujemy inne typowe ofiary krakowskiego aresztu przy Montelupich, w którym zdarzenia takie, jak to dotyczące rumuńskiego więźnia, wcale nie są wyjątkowe.

LESZEK SZLACHCIC

Leszek Szlachcic jest inwalidą I grupy, niewidomym. Nigdy nie był karany. Spędził 27 miesięcy w areszcie śledczym w Krakowie. Jest oskarżony o próbę wyłudzenia z Centrum Leasingu i Finansów w Krakowie 417 tys. zł. Twierdzi, że jest niewinny. Ma na to dowody. Oskarża prokuratorów z Krakowa o spowodowanie ślepoty. W areszcie śledczym odebrano mu zdrowie i wzrok.

19 lat temu Szlachcic zaczął tracić wzrok – jaskra. W latach 1984–1985 specjaliści z wrocławskiej kliniki przeprowadzili dwie udane operacje. Udało się powstrzymać postęp choroby. Odkupił od związku niewidomych dwie spółki, założył stowarzyszenie pomagające inwalidom. Zatrudnił około 90 niewidomych. Gdy trafił do aresztu, miał zaświadczenie od lekarza, że musi być pod stałą kontrolą okulisty. Mógł sobie tym świstkiem tyłek podetrzeć.

– Gdy zgłaszałem prośbę o konsultację lekarską, służba więzienna pisała, że moje problemy wynikają z samouszkodzenia wzroku – mówi Szlachcic. – To jakiś absurd.

Szlachcic ma dowód, że to nieprawda. Sądowy lekarz okulista wydał opinię, że nigdy nie doprowadzał do samookaleczeń, a dotychczasowe zmiany spowodowane są chorobą. O konsultacji

lekarskiej w czasie aresztu nie miał co marzyć. Prokurator nawet nie rozpatrywał jego próśb. Szlachcic stracił wzrok.

Złożył doniesienie o przestępstwie. Umozono. Złożył następne, następne i następne. Umozono. Wszystkie sprawy prowadziła prokuratura w Krakowie.

STANISŁAWA CHMIELEWSKA I JEJ SYN ADAM

Stanisława Chmielewska. Aresztowana przez krakowską prokuraturę, żeby „zmiękczyć” jej syna aresztowanego wcześniej. Chłopak nie chciał mówić, przymknęli mu więc matkę stawiając jej absurdalne zarzuty. Chmielewska była w areszcie rok i trzy miesiące. Wyszła w stanie agonalnym w pierwszej fazie udaru mózgu.

Badający Chmielewską lekarz z krakowskiego pogotowia po badaniu przed aresztowaniem napisał, że wyjątkowo wyraża zgodę na jeden dzień jej pobytu w izbie zatrzymań. W kilka dni po zatrzymaniu adwokat Chmielewskiej złożył wniosek o przebadanie jej przez biegłych lekarzy. Lekarze takie badanie przeprowadzili – w rok i trzy miesiące od złożenia wniosku! Chmielewska jest wrakiem człowieka. Sześć guzów tarczycy, guz piersi, osteoporoza, cukrzyca, dyskopatia, pierwsza faza udaru mózgu z postępującym paraliżem kończyn dolnych i mimicznymi zmianami na twarzy. Gdy z powodu konwulsji wreszcie zbadał ją więzienny lekarz i zrobił EKG, wyrwał z aparatu wynik i darł go na strzępy. Potem znowu robił pomiar i znowu darł, a pielęgniarka trwożnie pytała: „Wołamy pogotowie?!”. Nie zawołali.

Jej syn Adam trafił do aresztu za... wykrywanie przestępstw gospodarczych w koncernach paliwowych (pracował dla służb specjalnych). Zarzucono mu, że skumał się z przekręciarzami. Nam wydaje się, że za dużo wiedział o ważnych tego kraju, ale o tym zdecyduje sąd. Oczywiście aresztowała go krakowska prokuratura.

Do aresztu na Montelupich trafił zdrowy. To było wielkie,

silne chłopisko, zbudowane jak ze stali. Po dwóch miesiącach zaczęły się zawroty głowy, silne bóle, utraty przytomności. Prosił o konsultację lekarską. Prokurator uznał, że symuluje. Raz zmierzono mu ciśnienie: 200/120. Lekarz się uśmieł i wysłał go do celi. Niedługo potem Chmielewskiego sparaliżowało. Służbę więzienną zaalarmowali współwięźniowie. Gdy przyszedł lekarz, pociął mu nogę, żeby udowodnić, że aresztant ma czucie w nogach. Adam do dziś ma blizny. Lekarz stwierdził, że „coś jest nie tak”, i zostawili go w celi. Na rok. W międzyczasie wysiadło mu serce. Gdyby nie więźniowie, Chmielewski umarłby z głodu. Zwyczajnie w stanach krytycznych trzeba było go karmić. Prokurator nie wyraził zgody na konsultację lekarską, mimo że narzeczona i matka błagały w pismach o pomoc lekarską. Kiedyś w drodze na przesłuchanie zaczął umierać. Służba więzienna zatrzymała się przy pierwszym w mieście szpitalu. Ledwo przeżył. Lekarz więzienny chwilę przedtem napisał, że jest całkowicie zdrowy i może brać udział w przesłuchaniu. Z aresztu wyszedł ze zrujnowanym zdrowiem.

PAWEŁ H.

Paweł H. – prokurator. Znany w Krakowie, bo łapał pospolitych bandziorów. To on zresztą prowadził niefortunną sprawę prezesa Optimusa Romana Kluski. Paweł H. też trafił do aresztu na Montelupich. Jego kumpel z krakowskiej prokuratury zarzucił mu wzięcie łapówki – 1000 zł. Zaraz jak Paweł H. zniknął z prokuratury, ów kumpel zaczął opowiadać, że to on rozpracował Kluskę. Pawła H. wykończono w areszcie. Już po pierwszych miesiącach zaczęły się poważne problemy endokrynologiczne. Tym bardziej że aresztant był wcześniej leczony. Prosił o konsultację lekarską. Cisza. Błagał o nowe leki i kurację hormonalną. Wyśmiano go. W papierach napisano, że symuluje. Gdy nagle zaczął puchnąć, a zbierające się w organizmie płyny zagrażały życiu, lekarz więzienny napisał, że to... otyłość prosta. W areszcie przesiedział rok. Dziś jest w stanie udowodnić, że zatrzymano go na podstawie fałszywych zeznań. Co z tego, skoro zdrowia nikt mu nie wróci. Wyszedł z aresztu

jako kaleka. Pięć dni przed stwierdzeniem przez lekarza spoza więzienia stanu krytycznego i nieodwracalnych zmian, lekarz więzienny napisał, że Paweł H. jest zupełnie zdrowy.

– Takie oświadczenie wymusił na nim prokurator, żeby Paweł H. mógł wziąć udział w przesłuchaniu – powiedział jego współwięzień.

Żona Pawła H., biegły lekarz sądowy, pisała wielokrotnie do prokuratury. Bezskutecznie. Pisała skargi na lekarzy. Raz dostała odpowiedź, że przeprowadzono rozmowę profilaktyczno-wychowawczą.

ZAMORDOWANY SAMOBÓJCA

Wróćmy do tragicznie zmarłego Claudia Crulica. We wrześniu prokuratura z Krakowa (Śródmieście Zachód) wydała nakaz aresztowania. Prokurator utrzymywał, że rumuński emigrant okradł krakowskiego sędziego. Zginął mu portfel. Sędzia rozpoznał w Claudiu sprawcę, dla prokuratora sprawa była więc zamknięta. Nawet nie próbował weryfikować faktów i udowadniać winy.

Jestem niewinny, upierał się Claudiu. Prosił o kontakt z rumuńskim konsulatem. Prokuratura nawet nie odpowiedziała. Prosił o tłumacza. Jak grochem o ścianę. Błagał, żeby dołączono do akt sprawy bilet autobusowy do Mediolanu świadczący o tym, że w chwili popełnienia przestępstwa nie było go w Polsce. Nic. Prosił o przesłuchanie świadków, którzy go w autobusie widzieli. Zero reakcji. Lekceważyli go wszyscy. Wtedy zdecydował się na desperacki krok. Rozpoczął głodówkę. W ramach protestu, a nie jako próbę samobójczą, co dziś próbują wmówić władze więzienne, prokuratura i sąd.

Crulic nie jadł cztery miesiące. Służba więzienna w areszcie śledczym na Montelupich w Krakowie nie zrobiła nic żeby zapobiec tragedii. Nie tylko mogła coś zrobić, ale zgodnie z ustawą o służbie więziennej był to jej psi obowiązek. Za każdego osadzonego są odpowiedzialne władze więzienia, a za

aresztanta odpowiada także prokurator i sąd. Te trzy jednostki były zobowiązane chronić Claudiu. Tymczasem te trzy jednostki, współdziałając ze sobą, doprowadziły do jego śmierci.

Jak wynika z akt sprawy (I DS 1488/07) – Crulica 3 stycznia przyniesiono na noszach do szpitala. Po prawie czterech miesiącach głodówki. Lekarze napisali, że więzień jest w złym stanie, wyniszczony i odwodniony

– Kości obciążnięte skórą – mówili lekarze. Nic nie mówił, na pytania odpowiadał kiwnięciem głowy.

Wtedy pewnie służba więzienna i prokurator trochę się przestraszyli. Wystąpili do sądu.

14 stycznia sąd zgodził się na badanie krwi głodującego i przymusowe karmienie go przez sondę. Co z tego, skoro nadal nie karmiono go sztucznie.

– Wyrok musiał się uprawomocnić – stwierdził rzecznik aresztu na Montelupich.

Dawno nie słyszeliśmy większej bzdury.

– Dyrektor więzienia i służba więzienna ma wszelkie środki prawne, żeby natychmiast, bez zgody sądu, rozpocząć sztuczne odżywianie – mówi anonimowo (czego się boi?) jeden z dyrektorów więzienia. – To jest jego obowiązek. A badania krwi muszą być wykonywane rutynowo!

Mężczyzna umarł cztery dni później. Dyrektor więzienia stwierdził, że na własne życzenie.

– Był bardzo spokojny i całkowicie poczytalny. Doskonale wiedział, czym może skończyć się jego upór – powiedział Stanisław Teleśnicki, lekarz z krakowskiego więzienia.

Rumun był wyjątkowo spokojny, szczególnie w ostatnich dniach, gdy miał siłę jedynie zamrugać powiekami na znak, że w ogóle słyszy.

NIE DA SIĘ ZAPOMNIEĆ

Porozmawialiśmy z innymi pensjonariuszami krakowskiego aresztu – Leżałam w szpitalu więziennym – mówi była aresztantka, – a nad nami dosłownie wył człowiek. Nazywali go Sum. Miał trochę ponad 20 lat. Wył przez tydzień. Z bólu.

Aż pewnego dnia słychać było, jak strażnicy wpadli do celi, był wielki rumor, huk. Nietrudno było rozpoznać odgłosy bicia. I chłopak przestał wyć. Niedługo potem próbował się powiesić. Jego rodzice składali doniesienie. Udokumentowali winę. Postępowanie prowadziła krakowska prokuratura. Wynik znamy.

Dawid L., Żyd z oddziału III. Młody chłopak ze stwierdzoną klaustrofobią. Miał zalecenie dodatkowych spacerów po korytarzu. Był bity przez oddziałowych i kławiszy. Raz odmówił jedzenia. Został dotkliwie pobity. Naśmiewali się z niego, mówili „Mosiek”. Zamykali specjalnie w izolatce. Wychodził oszalały. Po paru takich odosobnieniach nigdy nie wrócił do siebie. Nasi informatorzy ostatni raz widzieli go, gdy na Montelupich był prawie rośliną. Żydowską rośliną z celi 207.

Iwonka, 22 lata, przyszła do aresztu zdrowa. Za niespłacony kredyt. Po pewnym czasie wpadła w panikę. Bała się wejść do celi. Współwięźniarki były pewne, że zabrano ją do psychiatrii. Gdy w południe szły na spacer, zobaczyły Iwonkę. Leżała na korytarzu na podłodze. A tam goły beton. Bezwładna, prawie goła. Prosiły oddziałowego, żeby wezwał lekarza. Gdy wracały po godzinie, Iwonka nadal leżała na tym samym miejscu. Nieprzytomna. Gdy więźniarki zaopiekowały się nią i odzyskała przytomność, nie była tą samą dziewczyną. Nie mówiła, nie umiała się ubrać, umyć. Nigdy nie zbadał jej psychiatra. Więzienny lekarz zaordynował jakieś leki. Spała po nich z otwartymi oczami. Nie było z nią kontaktu.

Bernadetta, nazywały ją Basia, też wymagała opieki psychiatrycznej. Próbowała się wieszać. Co noc rwała prześcieradło, żeby zrobić sznurek. Cały czas trzeba było jej

pilnować. Bliscy monitowali do prokuratora, prosili o konsultację psychiatryczną, więźniarki prosiły o pomoc. Prokurator nie widział powodu do reakcji. Czy Bernadetta żyje? Czy może wreszcie skrzyła swój sznur?

Marzenka, 28 lat, trafiła do aresztu za coś drobnego. Pewnego dnia zasłabła. Zmierzono jej ciśnienie. 210/100.

– Może napije się pani kawy – podobno z uśmiechem zapytał lekarz. Tego dnia było 38 stopni na dworze. W celach jeszcze cieplej. Lekarz nie pozwolił uchylić okna, choć były kraty. Więźniarki kilka godzin okładały ją mokrymi ręcznikami.

Leszek Szlachcic pamięta młodego aresztanta z celi obok. Mówił, że ma zawał. Współwięźniowie wzywali lekarza na pomoc. Przyszedł. Kazał mu wstać i iść do pielęgniarki. Chory nie mógł. Strażnicy zostawili go, tylko zerkali przez wizjer. Za dwa dni znowu więźniowie wzywali pomoc. Chory tracił przytomność. Kazano mu wstać i iść do pielęgniarki. Tak było trzy razy. Po ośmiu dniach wyniesiono go na noszach do więziennego szpitala. Parę cel dalej. Za późno. Zmarł na noszach tuż przy celi mojego rozmówcy. Miał zawał.

Stanisława Chmielewska siedziała kiedyś w celi z narkomankami. Trzy z nich były nosicielkami HCV, wirusowego zapalenia wątroby typu C. Najcięższego. Większość była na metandonie. Gdy wracały z zastrzyku, kiwały się półprzytomne na pryczach. Spadały, kaleczyły się. Chmielewska, ciepła opiekuńcza kobieta, pilnowała godzinami, żeby nie połamały sobie rąk i nóg. Kobieta, która sama wymagała stałej opieki lekarskiej.

Zgniła nora z pleksi w okienku i z betonową podłogą – to cela... szpitalna. Te, w których przebywają aresztanci, trudne są do opisanie. Na Montelupich są dokręcane łóżka pod sufitem. Gdy przyjeżdża kontrola unijna, łóżka się odkręca, a więźniowie na chwilę umieszczani są w innym pawilonie. Opieka medyczna w tym areszcie praktycznie nie istnieje. Lekarze i pielęgniarze za wszelką cenę starają się nie wpisywać do karty złych wyników.

Podobno na życzenie prokuratorów. Aresztant prawie zawsze może brać udział w przesłuchaniach, nawet gdy traci przytomność. Więźniowie mówią też, że stomatolog nie dezynfekuje narzędzi. Cały czas używa tych samych. Nikt nie zwraca uwagi na pory podawania leków. Cukrzycy zapadają w śpiączkę.

CI SAMI PROKURATORZY I SĘDZIOWIE

We wszystkich opisanych przypadkach przewijają się ci sami prokuratorzy i sędziowie. O kilku z nich już pisaliśmy. Mogliby być głównymi bohaterami i tego artykułu. Tym razem jednak bohaterami są ich ofiary. Ile ich jeszcze będzie? Nie trzeba jechać do Tybetu, żeby zobaczyć naruszanie wszystkich praw człowieka.

W papierach napisano, że symuluje. Gdy nagle zaczął puchnąć, a zbierające się w organizmie płyny zagrażały życiu, lekarz więzienny napisał, że to... otyłość prosta. W areszcie przesiedział rok. Dziś jest w stanie udowodnić, że zatrzymano go na podstawie fałszywych zeznań. Co z tego, skoro zdrowia nikt mu nie wróci. Wyszedł z aresztu jako kaleka. Pięć dni przed stwierdzeniem przez lekarza spoza więzienia stanu krytycznego i nieodwracalnych zmian lekarz więzienny napisał, że Paweł H. jest zupełnie zdrowy.

– Takie oświadczenie wymusił na nim prokurator, żeby Paweł H. mógł wziąć udział w przesłuchaniu – powiedział jego współwięzień.

Żona Pawła H., biegły lekarz sądowy, pisała wielokrotnie do prokuratury. Bezskutecznie. Pisała skargi na lekarzy. Raz dostała odpowiedź, że przeprowadzono rozmowę profilaktyczno-wychowawczą.

Wróćmy do tragicznie zmarłego Claudia Crulica. We wrześniu prokuratura z Krakowa (Śródmieście Zachód) wydała nakaz aresztowania. Prokurator utrzymywał, że rumuński emigrant okradł krakowskiego sędziego. Zginął mu portfel. Sędzia rozpoznał w Claudiu sprawcę, dla prokuratora sprawa była więc

zamknięta. Nawet nie próbował weryfikować faktów i udowadniać winy.

Jestem niewinny, upierał się Claudiu. Prosił o kontakt z rumuńskim konsulem. Prokuratura nawet nie odpowiedziała. Prosił o tłumacza. Jak grochem o ścianę. Błagał, żeby dołączono do akt sprawy bilet autobusowy do Mediolanu świadczący o tym, że w chwili popełnienia przestępstwa nie było go w Polsce. Nic. Prosił o przesłuchanie świadków, którzy go w autobusie widzieli. Zero reakcji. Lekceważyli go wszyscy. Wtedy zdecydował się na desperacki krok. Rozpoczął głodówkę. W ramach protestu, a nie jako próbę samobójczą, co dziś próbują wmówić władze więzienne, prokuratura i sąd.

Crulic nie jadł cztery miesiące. Służba więzienna w areszcie śledczym na Montelupich w Krakowie nie zrobiła nic, żeby zapobiec tragedii. Nie tylko mogła coś zrobić, ale zgodnie z ustawą o służbie więziennej był to jej psi obowiązek. Za każdego osadzonego są odpowiedzialne władze więzienia, a za aresztanta odpowiada także prokurator i sąd. Te trzy jednostki były zobowiązane chronić Claudiu. Tymczasem te trzy jednostki, współdziałając ze sobą, doprowadziły do jego śmierci.

Jak wynika z akt sprawy (I DS 1488/07) – Crulica 3 stycznia przyniesiono na noszach do szpitala. Po prawie czterech miesiącach głodówki. Lekarze napisali, że więzień jest w złym stanie, wyniszczony i odwodniony

– Kości obciągnięte skórą – mówili lekarze. Nic nie mówił, na pytania odpowiadał kiwnięciem głowy.

Wtedy pewnie służba więzienna i prokurator trochę się przestraszyli. Wystąpili do sądu.

14 stycznia sąd zgodził się na badanie krwi głodującego i przymusowe karmienie go przez sondę. Co z tego, skoro nadal nie karmiono go sztucznie.

– Wyrok musiał się uprawomocnić – stwierdził rzecznik aresztu

na Montelupich.

Dawno nie słyszeliśmy większej bzdury.

– Dyrektor więzienia i służba więzienna ma wszelkie środki prawne, żeby natychmiast, bez zgody sądu, rozpocząć sztuczne odżywianie – mówi anonimowo (czego się boi?) jeden z dyrektorów więzienia. – To jest jego obowiązek. A badania krwi muszą być wykonywane rutynowo!

Mężczyzna umarł cztery dni później. Dyrektor więzienia stwierdził, że na własne życzenie.

– Był bardzo spokojny i całkowicie poczytalny. Doskonale wiedział, czym może skończyć się jego upór – powiedział Stanisław Teleśnicki, lekarz z krakowskiego więzienia.

Rumun był wyjątkowo spokojny, szczególnie w ostatnich dniach, gdy miał siłę jedynie zamrugać powiekami na znak, że w ogóle słyszy.

EUROPA MAKABRY NIE ZOBACZY

Porozmawialiśmy z innymi pensjonariuszami krakowskiego aresztu.

– Leżałam w szpitalu więziennym – mówi była aresztantka – a nad nami dosłownie był człowiek. Nazywali go Sum. Miał trochę ponad 20 lat. Wył przez tydzień. Z bólu.

Aż pewnego dnia słychać było, jak strażnicy wpadli do celi, był wielki rumor, huk. Nietrudno było rozpoznać odgłosy bicia. I chłopak przestał wyć. Niedługo potem próbował się powiesić. Jego rodzice składali doniesienie. Udokumentowali winę. Postępowanie prowadziła krakowska prokuratura. Wynik znamy.

Dawid L., Żyd z oddziału III. Młody chłopak ze stwierdzoną klaustrofobią. Miał zalecenie dodatkowych spacerów po korytarzu. Był bity przez oddziałowych i kławiszy. Raz odmówił jedzenia. Został dotkliwie pobity. Naśmiewali się z niego,

mówili „Mosiek”. Zamykali specjalnie w izolatce. Wychodził oszalały. Po paru takich odosobnieniach nigdy nie wrócił do siebie. Nasi informatorzy ostatni raz widzieli go, gdy na Montelupich był prawie rośliną. Żydowską rośliną z celi 207.

Iwonka, 22 lata, przyszła do aresztu zdrowa. Za niespłacony kredyt. Po pewnym czasie wpadła w panikę. Bała się wejść do celi. Współwięźniarki były pewne, że zabrano ją do psychiatrii. Gdy w południe szły na spacer, zobaczyły Iwonkę. Leżała na korytarzu na podłodze. A tam goły beton. Bezwładna, prawie goła. Prosiły oddziałowego, żeby wezwał lekarza. Gdy wracały po godzinie, Iwonka nadal leżała na tym samym miejscu. Nieprzytomna. Gdy więźniarki zaopiekowały się nią i odzyskała przytomność, nie była tą samą dziewczyną. Nie mówiła, nie umiała się ubrać, umyć. Nigdy nie zbadał jej psychiatra. Więzienny lekarz zaordynował jakieś leki. Spała po nich z otwartymi oczami. Nie było z nią kontaktu.

Bernadetta, nazywały ją Basia, też wymagała opieki psychiatrycznej. Próbowwała się wieszać. Co noc rwała prześcieradło, żeby zrobić sznurek. Cały czas trzeba było ją pilnować. Bliscy monitowali do prokuratora, prosili o konsultację psychiatryczną, więźniarki prosiły o pomoc. Prokurator nie widział powodu do reakcji. Czy Bernadetta żyje? Czy może wreszcie skrzyła swój sznur?

Marzenka, 28 lat, trafiła do aresztu za coś drobnego. Pewnego dnia zasłabła. Zmierzono jej ciśnienie: 210/100.

– Może napije się pani kawy – podobno z uśmiechem zapytał lekarz. Tego dnia było 38 stopni na dworze. W celach jeszcze cieplej. Lekarz nie pozwolił uchylić okna, choć były kraty. Więźniarki kilka godzin okładały ją mokrymi ręcznikami.

Leszek Szlachcic pamięta młodego aresztanta z celi obok. Mówił, że ma zawał. Współwięźniowie wzywali lekarza na pomoc. Przyszedł. Kazał mu wstać i iść do pielęgniarki. Chory nie mógł. Strażnicy zostawili go, tylko zerkali przez wizjer. Za

dwa dni znowu więźniowie wzywali pomoc. Chory tracił przytomność. Kazano mu wstać i iść do pielęgniarki. Tak było trzy razy. Po ośmiu dniach wyniesiono go na noszach do więziennego szpitala. Parę cel dalej. Za późno. Zmarł na noszach tuż przy celi mojego rozmówcy. Miał zawał.

Stanisława Chmielewska siedziała kiedyś w celi z narkomankami. Trzy z nich były nosicielkami HCV, wirusowego zapalenia wątroby typu C. Najcięższego. Większość była na metadonie. Gdy wracały z zastrzyku, kiwały się półprzytomne na pryczach. Spadały, kaleczyły się. Chmielewska, ciepła opiekuńcza kobieta, pilnowała godzinami, żeby nie połamaly sobie rąk i nóg. Kobieta, która sama wymagała stałej opieki lekarskiej.

Zgniła nora z pleksi w okienku i z betonową podłogą – to cela... szpitalna. Te, w których przebywają aresztanci, trudne są do opisanie. Na Montelupich są dokręcane łóżka pod sufitem. Gdy przyjeżdża kontrola unijna, łóżka się odkręca, a więźniowie na chwilę umieszczani są w innym pawilonie. Opieka medyczna w tym areszcie praktycznie nie istnieje. Lekarze i pielęgniarze za wszelką cenę starają się nie wpisywać do karty złych wyników. Podobno na życzenie prokuratorów. Aresztant prawie zawsze może brać udział w przesłuchaniach, nawet gdy traci przytomność. Więźniowie mówią też, że stomatolog nie dezynfekuje narzędzi. Cały czas używa tych samych. Nikt nie zwraca uwagi na pory podawania leków. Cukrzycy zapadają w śpiączkę.

POLSKA ODPOWIE

Rodzina 33-letniego Rumuna, który zagłodził się na śmierć w krakowskim areszcie, przygotowuje pozew przeciwko państwu polskiemu. Tymczasem krakowski areszt i ambasada Rumunii twierdzą, że mężczyzna umarł z głodu na własne życzenie. Postępowanie wyjaśniające w sprawie śmierci Crulica prowadzi... areszt przy Montelupich. Czy przypadkiem nie nastąpiło zaniedbanie, bada... krakowska prokuratura. Już się ktoś wypowiedział, że Crulic na pewno podjadał, bo więźniowie kupują sobie jedzenie w bufecie i dostają paczki. Jasne! W

bufecie mogą się zaopatrzyć co dwa tygodnie, a prawo do paczek mają raz na kwartał do pięciu kilo.

We wszystkich opisanych przypadkach przewijają się ci sami prokuratorzy i sędziowie. O kilku z nich już pisaliśmy. Mogliby być głównymi bohaterami i tego artykułu. Tym razem jednak bohaterami są ich ofiary. Ile ich jeszcze będzie? Nie trzeba jechać do Tybetu, żeby zobaczyć naruszanie praw człowieka.

ARESZT TYMCZASOWY

Jest najsroższym środkiem zapobiegawczym, który stosuje się wobec najgroźniejszych przestępców lub gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że będą próbowali ucieczki albo będą mataczyć czy niszczyć dowody. Stosuje się go na trzy miesiące, gdyż ustawodawca uznał, że sprawnie działający prokurator w takim czasie powinien uporać się z zabezpieczeniem dowodów. W szczególnych przypadkach sąd na wniosek prokuratury może tymczasowe aresztowanie przedłużyć. Najwyżej o trzy miesiące. W Krakowie i nie tylko znaczna część kary odbywa się bez wyroku – w areszcie. Ciągłe zdarza się, że po czasie sąd wydaje wyrok uniewinniający albo akt oskarżenia w ogóle nie trafia do sądu. Osoby w ten sposób pokrzywdzone przez prokuratorów składają pozwy o odszkodowania. Płaci za to skarb państwa, czyli my wszyscy. A logicznie rzecz ujmując zapłacić powinien ten, kto nietrafnie wniósł o zastosowanie aresztu. Niekiedy długi pobyt w areszcie wpływa na wydanie sroższego wyroku po to, aby pozbawienie wolności obejmowało ten czas, który podsądny spędził w areszcie z woli sądu i zanim jego sprawa została merytorycznie rozpatrzona.

NIECHCIANE DOWODY

W czasie śledztwa Crulic chciał, aby do akt jego sprawy dołączono bilet autobusowy wykupiony na podróż z Krakowa do Mediolanu. Bilet był datowany na 10 lipca, co dowodziłoby, że Rumun wyjechał z Polski i 11 lipca, gdy popełniono kradzież,

nie było go w Krakowie (redakcja „Tygodnika Powszechnego” posiada kopię tego biletu oraz listę pasażerów). Dziennikarka „Tygodnika Powszechnego” Małgorzata Nocuń dotarła do pracownicy biura podróży Jordan, która 10 lipca była pilotką kursu i znała Crulica – był częstym pasażerem na tej trasie. Kobieta pamięta, że 10 lipca o 14.20 na przystanku Kraków Główny wsiadł tylko jeden pasażer – był nim Claudiu Crulic. Twierdzi, że nie mogłaby pomylić go z nikim innym i wpuścić na jego bilet kogoś innego. Jednak prokuratura nie przesłuchiwała pilotki jako świadka.

Autor: Joanna Skibniewska

Źródło: [Tygodnik „NIE”, nr 16/2008](#)